



POLSKIE TOWARZYSTWO TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZE Oddział Beskid w Nowym Sączu 1906 - 1996

Świętując 24.05.96 r. 90 lecie istnienia Oddziału PTTK „Beskid” nasuwają się refleksje i obrazy z historii. Czy 90 lat istnienia to dużo? - bo przecież to zaledwie żywot sędziwego staruszka. Dla organizacji społecznej to na pewno dużo. Ileż osób, zarówno tych zasłużonych dla naszego Towarzystwa, jak i zwykłych członków i sympatyków, a też i pracowników, tworzyło dzisiejsze oblicze naszej organizacji.

Kiedy wczytujemy się w słowa odezwy z 1906 r. do społeczeństwa sądeckiego o potrzebie utworzenia organizacji turystycznej, stwierdzamy, że argumenty „za” do dziś są aktualne. Oczywiście, że w owych czasach Polska nie istniała na mapach, była pod zaborami, a celem patriotyczne; poznawania przez młodzież kraju ojczystego i jego historii przyświecały twórcom Oddziału. Ciągłe aktualne są słowa twórcy Polskiego Towarzystwa Krajo-

nawczego, Aleksandra Janowskiego, wypowiedziane w 1906 r. „Poznaj swój Kraj i Ojczyznę służyć”. Od początku istnienia Oddziału zarysowały się dwa kierunki działania, a to organizacja

sekcji górskiej i narciarskiej oraz organizacja wycieczek - a zatem działalność statutowa i zagospodarowanie gór tak pod względem

c.d. na s. 2



Widok znad Wielkiej Frankowej. Ziewający - Antoś Waligóra.

Fot. Zofia Szeligiewicz

KRONIKA

16.04.1996 r. - Koło Przewodników zorganizowało promocję książki kol. Otawiana Dudy pt. „Cmentarze I wojny światowej” (os. 70).

20.04.1996 r. - Komisja Młodzieżowa była współorganizatorem zawodów na orientację o Puchar Jerzego (os. 60).

20.04.1996 r. - Komisja Młodzieżowa przeprowadziła I część eliminacji Ogólnopolskiego Młodzieżowego Turnieju Turystyczno-Krajoznawczego (os. 21).

21.04.1996 r. - Koło Grodzkie zorganizowało wycieczkę na Magurę Spiską (os. 30).

27.04.1996 r. - Komisja Młodzieżowa zorganizowała II część eliminacji Ogólnopolskiego Młodzieżowego Turnieju Turystyczno - Krajoznawczego (os. 22).

28.04.1996 r. - Koło Grodzkie zorganizowało wycieczkę do Doliny Chochołowskiej i na Grzesia (os. 55).

1.05.1996 r. - Koło Przewodników zorganizowało ognisko w Myślcu (os. 35). Yacht Club przeprowadził prace remontowo - porządkowe na przystani w Znamirowicach przed otwarciem 34-ego sezonu żeglarskiego przypadającego 18.05. br.

30.04. - 5.05.1996 r. - Koło Przewodników zorganizowało wycieczkę do Druskiennik, Wilna, Kowna i Trok (os. 135).

1 - 3.05. 1996 r. - Yacht Club zorganizował w Znamirowicach zgrupowanie szkoleniowo - treningowe na stopień żeglarsza i sternika jachtowego - 3 załogi szkolono na 6 Omegach; 4 załogi na Optymistach; 2 załogi na OK Dingh; 2 załogi na Cade-

tach (os. 30). Było to praktyczne szkolenie po trwającym przez okres zimowy szkoleniu teoretycznym. Yacht Club przygotował bogaty program na sezon letni, ale o tym będziemy informować po jego wykonaniu.

5.05.1996 r. - Koło Grodzkie zorganizowało wycieczkę na Lubań (os. 4).

6.05.1996 r. Odbyło się zakończenie kursu



„Młodzieżowy Organizator Turystyki” (os. 38).

11.05.1996 r. - Komisja Pracy PTTK w Osiedlach Mieszkaniowych zorganizowała przechadzkę po Ptaszkowej (os. 7).

11.05.1996 r. - Komisja Młodzieżowa zorganizowała eliminacje Ogólnopolskiego Młodzieżowego Turnieju Turystyczno - Krajoznawczego.

12.05.1996 r. - Koło Grodzkie zorganizowało wycieczkę na Haligowskie Skutki połączoną ze smażeniem jajecznicy w Leśnicy (os. 56).

19.05.1996 r. - Wycieczka z Kołem Grodzkim na Polski Spisz - Kuraszowski Wierch, Pawlikowski Wierch (os. 47).

Wanda Szoska

POLSKIE TOWARZYSTWO TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZE

Oddział Beskid w Nowym Sączu

1906 - 1996

c.d. ze s. 1

wytyczania i znakowania szlaków turystycznych, jak i budowy schronisk górskich, czyli działalność programowo - gospodarcza. Po dziewięćdziesięciu latach stwierdzamy, że te dwa kierunki działania praktycznie istnieją po dzień dzisiejszy, a czas potwierdził ich słuszność.

Przez te 90 lat istnienia Oddziału turystyka znacznie się rozwinęła, zmieniły się możliwości i

środki jej uprawiania - jedynie nie zmienił się jej cel. Różne były okresy w 90-leciu istnienia Oddziału, lecz jedno jest dla tych lat wspólne i stanowi największą wartość działalności naszego Towarzystwa, są to jego społeczni działacze. Ci, którzy turystykę umiłowali, dla niej wiele zrobili i robią. Pragniemy im przy tej okazji serdecznie za to wszystko podziękować i życzyć satysfakcji z pracy na rzecz Towarzystwa.

Dzisiejszy jubileusz jest świętem zarówno tego, co siedzi w uczniowskiej ławce, jak i tego, co jest już na zasłużonej emeryturze, jest świętem wszystkich tych, którzy turystykę umiłowali i widzą w niej specyficzny sposób na życie. Księga historii Oddziału PTTK „Beskid” nie kończy się na 90-leciu. Jest księgą otwartą, na której kartach należy zapisywać następne rocznice i lecia.

Jesteśmy sędziwi wiekiem, ale młodzi duchem i energią działania, wierzymy, że zawsze znajdzie się grono pasjonatów, którzy swoją pracą i zapałem sprostają celom i założeniom postawionym przez Twórców Naszego Oddziału.

S.A.

>...Zwracamy się tedy z gorącą prośbą i wezwaniem do wszystkich ludzi dobrej woli i kraj ojczysty miłujących, by myśli naszej nie dali zginąć w zaczątku.(...) Zapisujcie się więc tłumnie do Towarzystwa „Beskid”< - tym gorącym apelem do społeczności Sącza kończyła się odezwa wydana

Szcześliwie się złożyło, że w tonie tegoż Koła spotkał się z kilkoma późniejszymi pionierami turystyki w Beskidach - z Sosnowskim, Lenczowskim, Gdeszem. Wszyscy oni stali się animatorami rozwijającego się, póki co, spontanicznie ruchu turystycznego na Sądeckczyźnie. Pewnie wówczas

GŁOSA DO DZIEJÓW SADECKIEGO „BESKIDU”

w początkach 1906 roku, podpisana m.in. przez A.Lenczowskiego, I.Króla i K.Sosnowskiego. Najbliższa przyszłość pokazała, że wezwanie nie pozostało bez echa. 24.05.1906 roku Towarzystwo „Beskid” zaistniało, i dziś, po upływie dziewiętej dekady możemy obchodzić szacowny jubileusz. Znamy z grubsza bieg historii „Beskidu” od 1906 roku, aż po dni współczesne. A bogate archiwum naszego Oddziału jest niezmiennie od tego czasu zwierciadłem ludzi i działań - tych wielkich, mniejszych oraz całkiem drobnych, co nie znaczy, że nie ważnych. Czy jednak znamy wszystkie kulisy powstania Towarzystwa?

Wertując swoją domową bibliotekę górską natknąłem się na nader interesujące informacje. Otóż, jak donosić miał lwowski dziennik „Słowo Polskie” w numerze 580 z 10.12.1904 roku, w grudniu tegoż roku „za inicjatywą miłośników naszej przyrody” zdecydowano utworzyć w Nowym Sączu Tow. Tur. „Beskid”, którego celem miało być „zapoznanie członków, studentów itp. z naszym Beskidem Zachodnim”. O blisko półtora roku wcześniej niż „Beskid” ostatecznie powstał! Trudno na razie mi dociec dlaczego ta pierwsza inicjatywa nie została wówczas zrealizowana. Na pomoc w rozwikłaniu zagadki można przywołać osobę Ignacego Króla, jednego z sygnatariuszy odezwy z 1906 roku. Król, znający doskonale Tatry, już w czasie studiów na UJ czynnie uprawiał taternictwo, miał na swoim koncie wcale ambitne drogi, a nawet pierwsze wejścia na tatrzańskie szczyty. Po objęciu w 1903 roku w Nowym Sączu posady profesora gimnazjalnego przedmiotów matematyczno - przyrodniczych nie powinien dziwić fakt, że bakcylem turystycznym starał się zarazić najpierw swoich wychowanków. Prowadził jednocześnie aktywną eksplorację na ogromnym obszarze Karpat. To właśnie w czasie pobytu w Sączu opublikował w 1904 roku swoją jedyną pracę pt. „Zapiski folklorystyczne” będące przeglądem roślin Karpat od Howerli po Piłsko. Król z oddaniem też uczestniczył w życiu Koła Sandeckiego Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych.

powstał pomysł ujęcia go w karby organizacyjne i utworzenia miejscowego towarzystwa turystycznego. Zbieżność czasowa pomysłu z 1904 roku z początkiem działalności Króla w Nowym Sączu jest chyba nie przypadkowa. Twórcy zawiązania „Beskidu” w 1904 roku niewystarczająco przygotowali organizacyjną stronę przedsięwzięcia - nie opracowali na czas statutu, a bez niego nie mogła wówczas powstać i działać żadna organizacja. Nabyt też optymistycznie liczyli na większą spontaniczność przyszłych członków, być może i mało rozpropagowali swoją akcję wśród społeczeństwa, szczególnie w jego bardziej zamożnych warstwach. Niestety, nawet najpiękniejsza idea może upaść przy braku podstawowych środków pieniężnych. Prawdopodobnie któryś z tych powodów, a najpewniej wszystkie po trochu, były powodem, że „Beskid” wówczas nie powstał.

Druga próba, poprzedzona uzyskaniem zatwierdzenia statutu w marcu 1906 roku, oraz szerszą agitacją w kręgach urzędniczych Nowego Sącza okazała się udana. Chociaż zwrot z odezwy: „...by myśli naszej nie dali zginąć w zaczątku...” sugeruje, że obawiano się kolejnej porażki. Ignacy Król, mimo że nie wszedł do władz dał się poznać jako współtwórca statutu (z Lenczowskim i Sosnowskim). Za jego też staraniem, jedną z trzech powstałych komisji była Komisja Tatrzańska. Wreszcie, prawie zapomnianą zasługą Króla, jest założenie wspólnie z R.Gdeszem w grudniu 1906 roku, w działającym już Towarzystwie - Oddziale Narciarskiego Towarzystwa Turystycznego „Beskid”. Była to pierwsza na ziemiach polskich organizacja narciarska. Uważana powszechnie za pionierskie Karpackie Towarzystwo Narciarzy powstałe w styczniu 1907 roku we Lwowie.

Zastanawiać tylko może dlaczego Tow. Tur. „Beskid” nie powstało od razu jako oddział Towarzystwa Tatrzańskiego? Okazuje się, że w tych latach powstało kilka przeróżnych lokalnych organizacji turystycznych, z których część z czasem połączyła się z Tow. Tatrzańskim, a inne nie. TT nie było jedyną organi-

LUBOMIRSCY - GRODOWI STAROSTOWIE SĄDECCY (3)

Gościli w nim siebie i zależnych od nich jedynie urzędników. Odziedziczony w 1613 r. wiśnicki zamek przez Stanisława Lubomirskiego przekształcony został w następnych latach, według planów włoskiego architekta, w rezydencję typu „pallazzo in fortezza.”

Po pożarze zamku królewskiego w Nowym Sączu w 1611 r. starostowie Sebastian i Stanisław Lubomirscy odbudowali i powiększyli tę urzędową rezydencję, nadając mu kształt renesansowy.

Stanisław Lubomirski zaślubił w 1613 r. Zofię - córkę księcia Ostogskiego, właściciela Tarnowa i wojewody wołyńskiego. W tymże roku odstąpił sądeckie starostwo swemu stryjecznemu bratu SEBASTIANOWI - liczącemu wówczas 21 lat. Stało się w rodzie Lubomirskich zwyczajem, iż starostwa przekazywano młodszym członkom rodziny, którzy tym urzędem rozpoczynali kariery

publiczne. Ten sądecki starosta zmarł w 1627 r.

Prestiż rodu Lubomirskich podnosić poczęły związki pokrewieństwa z niektórymi niemieckimi domami książęcymi. Cesarz Ferdynand III nadał Stanisławowi Lubomirskiemu w 1647 r. dziedziczny tytuł książęcy. Spoczął on w Kościele Karmelitów w Wiśniczu w 1649 r.

Pierwsza dziesięcioletnia przerwa pełnienia urzędu starościńskiego przez Lubomirskich nastąpiła po wprowadzeniu nań zasłużonego dyplomaty Jana Stano z Nowotańca h. Gozdawa.

JERZY SEBASTIAN LUBOMIRSKI - syn Stanisława objął je znów w 1637 r. Pełnił w ciągu swego życia pięciokrotnie urząd starosty, doszedł do godności marszałka nadwornego koronnego. Śmierć zastała go we Wrocławiu w 1667 r. Spoczął w kościele Karmelitów w Wiśniczu.

Z rąk swego brata przejął starostwo sądeckie w 1646 r.

liczący wówczas 26 lat **KONSTANTY JACEK LUBOMIRSKI**. Wzniósł w Nowym Sączu ok. 1650 r. rezydencję nazwaną „obejściem marszałkowskim” - dzisiaj ta barokowa kamienica mieści zbiory Biblioteki Wojewódzkiej. Jego nawojowscy dragoni - a Polska była wówczas w ciągłym stanie wojny i każdy, kogo było na to stać posiadał własne wojsko - pomogli sądeckim mieszczanom i oddziałom włościan z starościńskich wsi w rozprawieniu się w dniu 13 grudnia 1655 r. z załogą szwedzką okupującą miasto. Nowy Sącz uwolnił się w ten sposób jako pierwszy w kraju od szwedzkiego najeźdźcy. Z jego fundacji powiększona została kaplica Przemienienia Pańskiego przy klasztornej kościele o.o. Franciszkanów w Nowym Sączu z przeznaczeniem na miejsca kultu i kaplica grobowa tej gałęzi Lubomirskich. Dzierżył też urzędy w czterech grodach. Zmarł w 1663 r. Spoczywa w kościele farnym w Jarosławiu.

Sądeckie starostwo objąć miał za zasługi wojenne hetman polny Stefan Czarnecki w 1663 r.

c.d. na s. 5

GŁOSA DO DZIEJÓW SĄDECKIEGO „BESKIDU”

c.d. ze s. 3

zacją działającą w górach, ani nie miało monopolu na turystykę. Zresztą TT przeżywało w okresie przed pierwszą wojną światową pewien kryzys i może nie było tak atrakcyjne dla nowo powstających. Usilnie jednak TT zabiegało o pozyskiwanie nowych członków, a rodzące się organizacje mogły za jednym razem dać tych członków i część składek od nich. Do największych należało powstałe w 1909 roku, a włączone do PTT po odzyskaniu niepodległości Polskie Towarzystwo Turystyczne „Beskid Śląski” z siedzibą w Cieszynie. Z drugiej zaś strony zawiązany w 1906 roku we Lwowie Akademicki Klub Turystyczny działający pręźnie w Karpatach Wschodnich nigdy z TT nie połączył się. Daleko posuniętą samodzielność zapewniły sobie też wschodniokarpackie oddziały TT prowadzące dość autonomiczną działalność wobec swojej centrali. W przypadku sądeckiego „Beskidu”

jego odrębność wymusił pewnie czynnik finansowy. Nie chciano odstraszać chętnych już na wstępie wysokimi składkami. Gdy młode, sądeckie Towarzystwo Turystyczne nieco okrzepło organizacyjnie, włączenie zostało ostatecznie przypieczętowane w 1907 roku, a „Beskid”, stał się odtąd kolejnym, szóstym oddziałem TT (po Stanisławowie, Kołomyi, Lwowie, Szczawnicy i Makowie Podhalańskim).

Dalsze dzieje sądeckiego „Beskidu” - działanie w strukturach Towarzystwa Tatrzańskiego, a następnie w Polskim Towarzystwie Tatrzańskim, aż po obecne funkcjonowanie jako Oddział „Beskid” PTTK - są doskonale znane. Widać tu wyraźnie ciągłość tradycji, działań i niezmiennoscí idei naszego starego, ale wciąż żywotnego Jubilata, który był i, mam nadzieję długo jeszcze będzie, nadal tym samym „Beskidem”. Jest bowiem w nim coś dzięki czemu przetrwał różne zakręty tej wielkiej i małej historii, a co obecnie daje poczucie dumy z przynależności doń nam wiernym członkom, ale też - o dziwo - ciągle szukającemu swojego miejsca neo-PTT. Czym jest to coś, nie powiem, niech każdy sam sobie odpowie.

Jerzy Macek

Sam nie zasiadając na tym urzędzie przekazał je swemu zięciowi Janowi Klemensowi Braniczkiemu z Ruszczy.

Po nim starostwo sądeckie objął w 1670 r. ~~syn Jerzego~~ Sebastiana - **ALEKSANDER MICHAŁ LUBOMIRSKI** (1614-1677), należący do niepospoliczonych przedstawicieli rodu. Jego uniwersyteckie wykształcenie w kraju i zagranicą przygotowało go dobrze do pełnienia wysokich urzędów. Był posłem na sejmy, marszałkiem sejmowym, dającym świadectwo troski o państwo. Wierny Janowi Kaziemierzowi w czasie „potopu szwedzkiego” wystawił własną chorągiew do walki z Kozakami. Małżonką jego została Tekla z Ossolińskich - córka Jerzego kanclerze wielkiego koronnego. Jego umiejętność pomnażania majątku sprawiła, że posiadał zamki w Wiśniczu i Rzemieniu, 3 miasta, 120 wsi, 57 folwarków, pełnił urzędy w 7 starostwach, w tym i sądeckim (w latach 1671-1675). W wiśnickim zamku zgromadził obszerny księgozbiór i stworzył galerię obrazów mistrzów europejskich. Ponad 50 pomieszczeń zamku ozdobionych zostało marmurowymi portalami i posadzkami, sztukateriami, polichromiami ściennymi, boazeriami. Ustawiono w nich wysokiej klasy meble, brązy, rzeźby. Był mecenasem artystów, wspomagał m.in. Jana Andrzeja Morsztyna. Wiśnicki zamek został obrabowany w większości z tych cennych przedmiotów w czasie najazdu szwedzkiego.

Onże wystarał się o królewski przywilej umożliwiający osiedlenie się od 1673 r. Żydom w wyludnionym na skutek grasującej w Nowym Sączu - z nawrotami od 1652r. - dżumy. Ta żydowska społeczność nie podlegała radzie miejskiej lecz bezpośrednio staroście sądeckiemu.

Kościół farny w Dąbrowie Tarnowskiej stał się miejscem jego wiecznego spoczynku. Wdowa

po nim, jego druga żona - Katarzyna Sapieżanka - wyszła za mąż za Jana Stanisława Lipskiego h. Drużyna, w którego ręku starostwo sądeckie pozostawało przez pięć lat.

Objął je w 1682 r. **HIERONIM AUGUSTYN LUBOMIRSKI** - syn Sebastiana. Powoływany do pełnienia odpowiedzialnych, zarazem zaszczytnych urzędów w Królestwie Polskim przekazał starostwo sądeckie w 1687 r. Czterokrotnie, był marszałkiem nadwornym koronnym, podskarbisem wielkim koronnym, wojewodą i kasztelanem krakowskim, hetmanem wielkim koronnym. Zmarł w 1706 r. Spoczywa w kościele Karmelitów w Wiśniczu.

Następcą po nim został syn Aleksandra Michała - **JERZY PAWEŁ ALEKSANDER LUBOMIRSKI**. Obejmując ten urząd w zamku sądeckim liczył zaledwie 18 lat, ale też pełnił go najdłużej z Lubomirskich, bo przez 48 lat do 1735r. Zarządzał trzema starostwami, był obożnym wielkim koronnym, wojewodą sandomierskim. W zamku sądeckim nadał Żydom, 3 lutego 1699 r. przywilej wystawienia murowanej synagogi w Nowym Sączu. Budowla ta stoi do dzisiaj. Wieczny spoczynek znalazł w kościele farnym w Dąbrowie Tarnowskiej.

STANISŁAW LUBOMIRSKI objął po ojcu starostwo sądeckie w 1735 r. Był podstolim koronnym, wojewodą braclawskim, kijowskim. Sądeckie starostwo ustąpił w 1754 r. Stanisławowi Małachowskiemu h. Nałęcz. Spoczął na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

Pomyślność rodu Lubomirskich oparta była na ogromnym majątku. W jego skład wchodziły nie tylko dochody z żup solnych, ale i intraty płynące z pełnionych urzędów - w tym z sądeckiego starostwa, z dzierżawionego

LUBOMIRSCY - GRODOWI STAROSTOWIE SĄDECCY (3)

przez 100 lat starostwa spiskiego z siedzibą w Lubowli, w którego skład wchodziły miasteczka i wsie zastawione Władysławowi Jagiellem w 1412 r. przez węgierskiego króla. Zasoby materialne zwiększała hojność monarchów i koligacje z rodami polskimi co sprawiło, że w rękach Lubomirskich znalazła się część ordynacji Ostrogskich.

Znaczenie rodu ugruntowane zostało przez jego rzeczywiste dla Polski zasługi. Ród Lubomirskich trwa.

Irena Styczyńska
listopad 1995 r.

Ks. Jan Sygański - „Z życia szlachty sandeckiej” - 1910

Ks. Jan Sygański - „Historia Nowego Sącza” - 1902

„Dzieje Nowego Sącza” - praca zbiorowa - 1992

Marek Miler - „Arystokracja” - 1992



Słowacja - Osturnia. Pod cerkwią.
Fot. Z. Szeligiewicz

MOJE SPOTKANIA Z ODDZIAŁEM PTTK „Beskid”

Dwóch ludzi zawazyło na kształcie obecnego Oddziału PTTK „Beskid” - prof. Feliks Rapf przez 25 lat kierujący jego losami i mgr inż. Władysław Stendera przez lat 40-ści, co już samo w sobie jest fenomenem w skali krajowej. Inni prezesi Oddziału byli wprawdzie również oddanymi sercem Towarzystwu, ale dwuletni, a najwyżej trzyletni okres ich kadencji nie mógł poważnie wpłynąć na jego rozwój.

A więc przypatrzmy się tym dwóm najważniejszym, bo napewno wiele cech mają wspólnych, oczywiście oprócz gorącego umiłowania gór i samej idei turystyki. Obaj niezwykle energiczni, nawet apodyktyczni, z wyraźną wizją tego co chcą zrobić dla Towarzystwa, nie oglądający się na środki materialne, jakie są w ich dyspozycji. Ponadto obaj umiejący sobie dobrać zespół ludzi, którzy ofiarnie im w tym pomagali, mimo że nieraz dawali powody do odmiennych na różne sprawy poglądów, zwłaszcza tych bardziej umiarkowanych i ostrożniejszych działaczy. W ostateczności dzięki takiemu właśnie podejściu udało się tak wiele stworzyć, co było zresztą u obu dostrzegane przez najwyższe władze PTT, a potem PTTK.

Z profesorem Rapfem w PTTK spotykałam się właściwie niewiele, gdyż Oddziałem kierował tylko (a może aż, bo przecież było to równo 25 lat) do Zjazdu połączeniowego w r. 1950, którego był zwolennikiem, i na który zarazem był jednym z czterech delegatów. Potem zajmował się jeszcze przez pewien czas pracami znakarskimi i do r. 1956 był członkiem Zarządu Głównego Komisji Turystyki Górskiej.

Natomiast doskonale pamiętam Go z Gimnazjum, gdzie uczył nas, z wyjątkową zdolnością, zgłębiania tak trudnej dziedziny, jaką stanowiła fizyka. Był wspaniałym wykładowcą i wszystkie Go uwielbiałyśmy, ale szczególnie trafiał nam do serc, kiedy w wolnych chwilach prowadził nas w ukochane Beskidy i Pieniny. W Tatry nie! - na Tatry - uważał, mamy czas. Chociaż, kiedy dzisiaj patrzę na moją 12-letnią wnuczkę tak śmiało i pewnie pokonującą przepaściste zerwy Świnicy i Zawratu - niekoniecznie bym się z tym zgodziła. No, ale trudno, takie już miał zasady, a przecież sam był wybitnym taternikiem i to linowym.

Natomiast, jako przewodnik beskidzki był niezrównany i nie umając niczym naszej dzielnej braci przewodnickiej, mającej za punkt honoru skrócenie czasu przejścia znakowanej trasy przynajmniej o połowę, dla wielu ludzi mógłby być wzorem. Na czym to polegało? Przede wszystkim nigdy się nie spieszył, tylko zawsze szedł wolnym, miarowym krokiem, nie powodującym zadyszki, ani zmęczenia, przystając bodaj na minutę przy każdym widokowym miejscu i wyjaśniając uczestnikom położenie. Stąd uczestnicy wypraw z profesorem znali wygląd szczytów beskidzkich z różnych stron. Po godzinie takiego marszu był zawsze 10-minutowy odpoczynek niekoniecznie siedzący, a po trzech godzinach dłuższy na jakiejś pięknej polanie, czy widokowym szczytynie. W ten sposób można było wędrować godzinami bez zmęczenia i poznając dokładnie zwiedzaane tereny. Tak też chodził z Nim nieżyjący śp. Franiu Czuchra, który również uważał go za wzór przewodnika.

Natomiast dokonania prof. Rapfa jako działacza znajdują swoje udokumentowanie w protokołach posiedzeń Zarządu Oddziału (dokumentacja w sposób ciągły prowadzona od 1906 r), w jego publikacjach wspomnieniowych w „Wierchach” i w relacjach koleżanek i kolegów.

Jakież to były dokonania? Jak już wspomniałam, umiał skupić wokół siebie ludzi związanych umiłowaniem gór, chętnie oddających swą wiedzę i siły dla realizacji zadań zagospodarowania turystycznego terenu, ludzi różnych warstw, zawodów i wieku. A więc znalazła się tu przede wszystkim duża grupa nauczycieli, która od powstania Oddziału zawsze przodowała w działalności społecznej i wprowadzaniu w góry grup młodzieżowych. A więc byli wśród nich prof. Franciszek Wzorek, Aleksander Gryglewski, Alfons Gargula, Piotr Zieliński, Franciszek Janczy, Stefan Szeworski, Józef Bogusz i wielu jeszcze innych. Było wielu prawników, jak dr Feliks Borowczyk, dr Adam Kozaczka, dr Julian Smolik, dr Józef Denkiewicz, byli pracownicy, jak to się wtedy nazywało, Warsztatów Kolejowych - inż. Roman Lazarowicz, Stanisław Grądziel, a przede wszystkim tak wszystkim znany Leoś Szwenik, byli księża - ks. dr Jędrzej Cierniak czy ks. Jan Solak z Grybowa i ludzie innych zawodów, jak aptekarz Zbigniew Nowakowski, czy pracownik PSS, Stefan Krajewski. I długo jeszcze można by odtwarzać listę ówczesnych działaczy. Od początku, czołowym zadaniem, jakie postawił sobie prof Rapf, było wybudowanie schroniska na polanie Przehyba, które po wielu trud-

nościach związanych z uzyskaniem parceli z odpowiednim źródłem wody - udało się dopiero zrealizować w r. 1936. Niedługo, niestety, funkcjonowało, z powodu wojny, w trakcie której schronisko było m.in. siedzibą AK-owskiej podchorążówki, a pod koniec której w r. 1944 zostało spalone. Z jakimże trudem zbierali działacze fundusze, aby można było rozpocząć tę budowę - i sprzedawali „cegiełki” wśród społeczeństwa nowosądeckiego i bili srebrne odznaki PTT sztancą ofiarowaną przez złotnika Antoniego Batkę, a większość składek przeznaczali na ten cel. A i tak pozostał potężny dług do zapłacenia. Trzeba było sprzedać budynek zorganizowanego w 1926 r. i dobrze funkcjonującego schroniska „Na Piaskach” w Szczawnicy - aby jakoś te dziury załatać

Dużą zasługą prof. Rapfa było zorganizowanie w r. 1924 Koła w Krynicy, któremu pierwsze środki finansowe dostarczył udany festyn. Koło to zyskało wielu zaangażowanych działaczy i rozwinęło szeroką działalność. Stał się przedstawicielem Koła brał udział zawsze w zebraniach Zarządu Oddziału „Beskid”; wspólnie wytyczano szlaki w rejonie Krynicy, a nawet oddano do użytku w r. 1925 kiluosobowy schron „Zochna” pod Runkiem. W r. 1929 Koło, za aprobatą Zarządu Oddziału, przekształciło się w samodzielny, do dziś istniejący Oddział.

Bardzo ważną dziedziną, której prof. Rapf dużo poświęcał czasu były prace znakarskie, oparte na nowym systemie znakowania szlaków, według Jego pomysłu, zatwierdzonym przez Zarząd Główny Komisji Turystyki Górskiej. Dzięki temu już wówczas szlaki znajdujące się w zasięgu działalności Oddziału sądeckiego były uważane za jedne z najlepszych.

Powiększyła się w tym czasie znacznie ilość członków i sympatyków, powstały nowe Koła w Starym Sączu i w Grybowie

Oddział pod Jego kierownictwem prowadził również działalność wydawniczą - wydał II nakład „Przewodnika po Beskidach” autorstwa prof. Kazimierza Sosnowskiego oraz mapę Beskidu Sądeckiego, finansowaną po połowie przez oddziały nowosądecki i tarnowski. Prof. Rapf opracował i wydał mapę Pienin oraz doskonały „Przewodnik po Pieninach”, których rozkolportowanie powierzył głównie Oddziałowi.

Wszystkie te osiągnięcia zniszczyła wojna. Ocalało jedynie bezcenne archiwum, ukryte przed okupantem przez profesorów Rapfa i Gargulę. Po jej skończeniu przystąpiono natychmiast do



Dolina Chochołowska- kwitnące krokusy.

odbudowy zniszczeń wojennych - przede wszystkim sieci szlaków turystycznych, które uległy kompletnej dewastacji. Zakiełkowała myśl odbudowy schroniska na Przehybie. Ale tego nie doczekał już prof Rapf za swojej kadencji

Drugim, który tworzył wspólną historię Oddziału PTTK „Beskid” był Władysław Stendera, prezesem wybrany w r. 1955, a przedtem przez dwa lata sprawujący funkcję wiceprezesa. Jego osiągnięcia mogłam już śledzić i osobiście w nich uczestniczyć, a „jak to było opowiem”

I On, jak prof. Rapf przyciągnął do Oddziału szereg oddanych działaczy, wytrwałych turystów o wielokierunkowych zainteresowaniach. Już zaraz po wojnie, kiedy, prawie że wprost z partyzanckiej tułaczki w Oddziale mjr Zubka „Tatara”, wytyczał i znakował pierwsze szlaki ze swą przyszłą małżonką śp. Kazimierą - kształtował się trzon tych działaczy - nie żyjący już Franek Dąbrowski, Franek Czuchra, Emil Homecki czy Leon Szwenik, oraz Witold Tokarski, Krysia Drocakówna, Nusia Kuczyńska.

Nikt nie potrafi oddać entuzjazmu ludzi tych lat, którzy po ciemnej długiej nocy okupacyjnej, zachłysnęli się wolnością, choć

Fot. Z. Szeligiewicz
wtedy jeszcze nie bardzo dostrzegali, że wolność nie jest taka, jaką sobie wymarzyli.

Ten entuzjazm uwidaczniał się też i w działalności turystycznej. Nikt nie liczył godzin spędzonych z pędzlem i kubelkiem farb, nikt nie myślał o jakimś wynagrodzeniu za prowadzenie wycieczek. Wszystko robiło się spontanicznie ideowo, w atmosferze koleżeńskości i wzajemnego zrozumienia, snując górnołotne plany na dyżurach w podnajmowanym wąskim pokoiku przy ulicy Długosza.

Rychło do działaczy zgrupowanych wokół Władysława Stendery dołączyli następni. Do nich należeli: Stanisław Biskupski, Tadeusz Sokół, Janina Ochmańska, Antoni Kotlarz, Władysław Oleksy, Wanda i Stanisław Szoscy, Jerzy Mroczkowski. Z czasem dochodzili dalsi - Józiu Waśko, Nusia Styczyńska, Jerzy Masior, Jadzia Wawro, Leopold Bieniasz i ci najmłodszy: Jacek Dobosz, Małgorzata Borsukowska, Ada Sobczyk, Ania Hancbach i wielu, wielu jeszcze innych. Nie sposób ich wszystkich wymienić.

Z czasem potwórzyły się Komisje poszczególnych zainteresowań, jak Komisja Turystyki Górskiej, Komisja Narciarska, Sekcja Żeglarska itd., itd., którym to zawsze służył radą i pomocą Władysław Stendera.

Na czas jego prezesowania przypada największy rozwój Oddziału. Dzięki jego najróżniejszym inicjatywom, nie zawsze idącym w parze z zasobami materialnymi, dzięki mądrej długofalowej polityce, nie tylko przyciągał do współpracy oddanych idei PTTK-owskiej działaczy, ale i uzyskiwał poparcie władz, najpierw powiatu, a potem województwa, a przede wszystkim PTTK-owskich.

Stąd rodziły się plany rozbudowy schronu na Łabowskiej Hali, która była zawsze jego oczkiem w głowie, pilotowanie budowanego z Centralnego Funduszu Turystyki schroniska na Przehybie, budowy stnicy wodnej w Znamirowicach, przebudowy baraku, powstałego po budowie mostu na Dunajcu w Nowym Sączu na hotel turystyczny, parkingu w Rynku czy przebudowy baraku na Obidzy na małe schronisko, tzw. „Zielony Domek”.

To przedsięwzięcia inwestycyjne - a ileż z Jego inicjatywy było zorganizowanych rajdów, rocznicowych imprez; budowa pomnika na szczycie Radziejowej, czy Hali Koniecznej, czy innych związanych z rajdami partyzancki-

mi. Ileż pomysłów, nie zawsze nawet zrealizowanych, jak choćby próba budowy domków campingowych, których prototyp wykonano w tartaku w Nawojowej - w poszukiwaniu stale brakujących pieniędzy. Wreszcie szczytowe osiągnięcie - zakup siedziby Oddziału, która stała się dzisiaj, w dobie twardej walki o byt, podstawą jego istnienia i działalności.

Weźmy taką stanicę w Znamirowicach, która dzisiaj jest jednym z największych ośrodków wodnych nad Jeziorem Rożnowskim. Mam w swych zbiorach zdjęcie z wiosny 1958 r., kiedy z Emilem Homeckim znakowaliśmy w tej okolicy szlak, przedstawiający fundamenty przyszłej stnicy. Nie do wiary, że

w tymże roku w jesieni była na oddana do użytku. Mam też inne zdjęcie, na którym grupa działaczy odczytuje życzenia, zrzucone z tej okazji wraz z kwiatami z samolotu zaprzyjaźnionego Aeroklubu Podhalańskiego. Któżby dzisiaj w tak krótkim czasie wybudował taki obiekt? Ale trzeba policzyć, ile w tym było społecznej pracy i inicjatywy. Pamiętam, jak Stendera, który w czasie okupacji pracował jako spawacz w Warsztatach Kolejowych - osobiście wykorzystywał te umiejętności przy budowie stnicy.

A Łabowska Hala? Nikt, kto znajdzie się dzisiaj pod gościnnym dachem pani Irenki Tarnawskiej nie domyśli się, jakie koleje to schronisko przechodziło. Stendera, wielkopolski „ptok”, zdekonspirowany w czasie wojny za dywersyjną działalność w Warsztatach, maltretowany i skazany na śmierć, cudem zbiegły z tarnowskiego więzienia - lata 44-te spędził tu, u boku „Tatara” i tu właśnie w trudnych, bezlitosnych partyzanckich czasach zaczęło się to zauroczenie górami, a szczególnie rejonem Łabowskiej Hali i Łomnicy, które stanowiły bazę 9 Kompanii. I dlatego

pozostał już na zawsze w naszej Sądecczyźnie i dzisiaj można by go śmiało nazwać „Krzakiem”. I dlatego skromniutki schronik na Łabowskiej, który został wybudowany w 1953 r., wyłącznie czynnem społecznym, przez działaczy na własnych barkach wynoszących na grzbiet górski gwoździe i wszystkie potrzebne materiały, stał się głównym ośrodkiem Jego zainteresowania. I odtąd co roku, odkąd został prezesem Oddziału coś się tam dobudowało - i zawsze społecznie, i zawsze z wiosną w pośpiechu, aby na sezon zaskoczyć turystów jakimś nowym udogodnieniem. Jednego roku to była duża jadal-

MOJE SPOTKANIA

nia, innego dwa pokoje noclegowe, to znowu „Górka”, sanitariaty, itd., itd., aż do czasu kapitalnego remontu, który miał przeobrazić schronisko w dzisiejszy nowoczesny obiekt.

Pamiętam, jednego razu brakło gwoździ na budowę, a czas naglił. Więc, cóż się dzieje? - pomocny jak zwykle Aeroklub zrzuci z samolotu dwie potężne paki. Jedna nie wytrzymała i rozsypała się po Hali, ale inwestycja przed nadejściem sezonu była gotowa! A ileż przy tym było radosnej krzątaniny, aby schronisko uporządkować i upiększyć. Niezrównanymi gospodarzami tam przez długie lat byli Józek Stec i jego siostra Marysia, którzy mimo prymitywnych warunków, potrafili stworzyć prawdziwie serdeczną, turystyczną atmosferę, przyciągającą wielu sympatyków. Dzisiaj kontynuuje to pani Tarnawska.

Było ono też zawsze etapem rajdu „O Srebrną Ciupagę”. Zdarzało się, że za czasów, kiedy „szefem” Komisji Turystyki Górskiej był już Poldziu Bieniasz byłam kierowniczką tegoż etapu i - jak on to zawsze przykazywał - meldunki miały być już o godz. 8-

mej na mecie. No więc ja, wyszedłszy wczesnym rankiem i prawie biegiem przeszedłszy trasę, około godz. 7³⁰ spotykam mego szwagra, już prawie w Ryt-rze, który ze zdumieniem otwiera szeroko oczy, pytając co ja tu robię o tej porze sama jedna.

Kolejny obiekt, to Przehyba. Schron ten był równie prymitywny, ale o nieco większych rozmiarach, toteż pod gospodarskimi rękami Michaliny Zarotyńskiej mógł dłużej w tym stanie funkcjonować i funkcjonował do r. 1958, kiedy to otwarto duże, nowoczesne już schronisko, a schron przeniesiono niżej, gdzie służy do

kazali się oni nadzwyczaj troskliwymi gospodarzami i do dzisiaj, kiedy się odwiedza kol. Laskowice w jego rodzinnym Szczyrku z rozrzewnieniem wspomina się te czasy. Dzisiaj „serduszko” nie pozwala mu nawet na odwiedzenie Przehyby.

Z tych czasów mile wspomina się organizowane tam Sylwestry. O północy wychodziliśmy do lasu i tam - przy blasku pochodni, rzucających jasne błyski na ośnieżone drzewa kolędowaliśmy na przemian z przyśpiewkami górskimi. Bardzo to było miłe!

Ja osobiście z rodziną lubiałam tam spędzać Święta Wielkanocne. Przy wspólnym

zginął 17 grudnia ub. roku, dokładnie w trzecią rocznicę pamiętnego pożaru schroniska w 1991 r. Wspaniały gospodarz, działacz, przewodnik, inicjujący coraz to inne imprezy, jak np. z końcem października 1994 r. zorganizowany I Prywatny Rajd Sympatyków Przehyby i Bereśnika, gdzie ostatnio objął „władzenie” jego syn Piotr.

Tak żywo interesował się odbudową schroniska, a i sąsiednią „Jaśkówką”, która trzeba przyznać, w większości powstała z jego inicjatywy.

W okresie jego gospodarowania miało miejsce w 1981 r. - z udziałem ks. bp Józefa Gucwy, poświęcenie sztandaru Oddziału przy specjalnie skonstruowanym ołtarzu polowym koło kapliczki na Hali Przehyba. Niezapomniana to była uroczystość! Ponad 300-tu uczestników - turystów i mieszkańców okolicznych wiosek złożyło swe podpisy na specjalnym liście hołdowniczym do Ojca Św., który w odpowiedzi przysłał osobiste błogosławieństwo.

Dla nas grupki dwunastu osób, omal nie skończyło się dość przykrą przygodą. Mianowicie miały być podstawione w Gaboniu dwa autokary dla odwiezienia uczestników po uroczystościach. W większości oni zjechali Uazem do autokaru, a o nas schodzących pieszo, po prostu zapomniano, odwołując drugi autokar. W dodatku zaczęła się mżawka. Dobrze, że miałam na wszelki wypadek pochodnie, bo była już ciemna noc. W leśniczówce udało nam się jakoś dodzwonić do Sącza, ale nim przyjechał Uaz, właśnie Uaz, a nie autokar, doszliśmy już do Skrudziny. Trzeba było widzieć, jak gnietliśmy się w Uazie, który normalnie zabiera 5 osób. Ale przynajmniej jechaliśmy - a była już godzina 23-cia.

Następny obiekt to „Zielony Domek”, dziś już nie istniejący. Podobno spłonął w nieznanych okolicznościach i tylko przydrożna drewniana rynienka, odprowa-

Z ODDZIAŁEM PTTK 'BESKID'

dzisiejszego dnia, jako rezerwa w razie dużego nasilenia ruchu turystycznego.

Znaczącymi gospodarzami na Przehybie byli Zosia i Fredek Lastovicowie, Halina i Marian Patykowie oraz Olga i Jasiu Bielakowie. Pierwsze spotkanie działaczy Oddziału z Lastovicami nie było fortunne. Schronisko nie było jeszcze oficjalnie owarte, miało to nastąpić na drugi, czy trzeci dzień - kiedy przyszlismy wiosną, sobotnim wieczorem w drodze do Łącka na święto „Kwitnącej Jabłoni”, zmęczeni i nie pamiętam, bodaj że przemoczeni. Stukamy, pukamy, a tu nikt nie otwiera, jakkolwiek dochodzą odgłosy hucznej zabawy. Jak się później okazało - obchodzono imieniny Zosi. Po długich dobijaniach wreszcie ktoś z personelu udostępnił nam jeden pokój - oczywiście bez łóżek i pościeli. Przemordowaliśmy jakoś tę noc, wszyscy ze zwarzonymi minami. Widzę, jak naszemu prezesowi tylko szczeka chodzi ze złości.., ale za to Fredek w poniedziałek był już o 5-tej godzinie rano u Niego „na dywaniku”. Co sobie powiedzieli, nie wiem, ale potem stosunki między nimi a Oddziałem ułożyły się jak najpomyślniej. O-

śniadaniu, przy stołach ustawionych w koło składaliśmy sobie wzajemne życzenia, a na drugi dzień zaczynało się śmigusowe oblewanie, dolegliwe, bo czasami nawet hydrantem. Pamiętam jeden taki wypadek świąteczny - wyszliśmy już w Wielki Czwartek, żeby trochę czasu spędzić w pięknej górskiej scenerii, a tu jak na drugi dzień zaczęła się śnieżna zawieja, to trwała do niedzieli wielkanocnej, tak, że nie dało się nosa wychylić ze schroniska, a na przekór, kiedy w poniedziałek trzeba było już wracać do domu, zegnała nas przepiękna pogoda.

Na czasy gospodarzenia Patyków, którzy również wzorowo prowadzili schronisko, przyciągając doń licznych sympatyków, przypada okres, kiedy to na wypożyczek narciarski przyjeżdżał do niego przez dziesięć lat kardynał Karol Wojtyła wraz z zaprzyjaźnioną rodziną prof. Janickiego. Jest to uwidocznione wpisem w książce schroniskowej wraz z oryginalnym wykresem, obrazującym symbolami, np. kapeluszem biskupim, potem kardynalskim awansem Jego Świątobliwości.

Wreszcie niezapomniany Jasiu Bielak, który tak tragicznie

dzająca wodę ze źródła, znajdująca się w pobliżu schroniska, pozwala domyślać się miejsca, gdzie ono stało.

Co prawda, nie miało ono szczególnego szczęścia. Gospodarzył w nim mieszkający w pobliżu pan Gardoń, tak, że chcąc przenocować, trzeba było udać się po klucze do niego. W rezultacie obiekt usytuowany w lesie, nie podpiwniczony i stale zamknięty, czuć było stęchlizną. I jakoś nie miał szczęścia do szukających tam odpoczynku i w końcu musieliśmy z niego zrezygnować. A tyle było przygotowań i tyle nadziei z nim wiązaliśmy, bo oczywiście znowu wszystko robiliśmy społecznie. Stale tam chodziliśmy, malowaliśmy, donosiliśmy co trzeba, a potem sprzątaaliśmy. Prezes Stendera wziął nawet dwutygodniowy urlop, aby wszystkiego osobiście dopilnować. Trzeba pamiętać, że obiekt usytuowany był przy samej granicy, toteż był w centrum zainteresowania WOP-istów - a kto tam przychodzi, a czy czegoś się nie przemyca. W związku z tym byliśmy świadkami wielu zabawnych sytuacji, bo aczkolwiek nigdy nas nie legitymowano, to musiano nas dobrze znać. Stale tam kręcili się jacyś pseudoturysty, czy jacyś żebracy - wiadomo: przebrani WOP-iści.

Kiedy otwarto granicę na Mniszku - pamiętam mój syn, wówczas studiujący w Krakowie, chciał udać się w Tatry, kiedy kontrolujący go WOP-ista oglądając paszport, powiedział mu: - A to pana mama pracuje tam na Obidzy.

I tak można by snuć te wspomnienia jeszcze bardzo długo... o tym, jak nas witali bramą powitalną na Niemcowej w czasie wycieczki zorganizowanej na 50-

lacie Oddziału. Na Niemcowej było wówczas całe osiedle ze szkołą jednoklasową i wszyscy czekali na nas, aż ukážemy się z kapelą góralską na przodzie. O zabawach karnawałowych, które organizowaliśmy dla zdobycia funduszy, a które cieszyły się przeogromnym powodzeniem. Zwłaszcza ta pamiętna pierwsza, która miała miejsce w podniszczonej sali oddanego później do remontu budynku wojskowego przy al. Niepodległości. I cudowną dekorację, którą załatwiliśmy te

latach jego grób i postawiła na nim - ich zwyczajem - siedem burotek koniaku. Oczywiście jeszcze tego samego dnia nie było po nich ani śladu - to znowu naszym zwyczajem.

I wiele, wiele tych wspomnień pozostaje w pamięci. Wszystkie one przypominają, ile czasu, pracy i zapału włożyliśmy w realizację tych wszystkich przedsięwzięć, ile znalazły nasładowców, ilu przyciągnęły działaczy, którzy znaleźli w Oddziale pole do rozwinięcia swoich zain-



**Kamień w a g o w y pod Jaworzyną
(wedle rys. B. Stęczyńskiego z
połowy w. XIX)**

braki. Pamiętam, jak niezapomniany Jurek Butscher w ciągu pięciu minut ze stosu odpadków „wyczarował” uroczne gniazdko z ptaszkiem.

Albo inne wspomnienia, kiedy siostra pochowanego na Hali Koniecznej Gruzina odnalazła po

teresowań i działania; nieraz bardzo dynamicznego, bardzo różnicowanego, które tworzy dzisiaj kształt naszego Oddziału.

Wanda Szoska

LIMBA